Nr. 28. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 8 Lipca 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg.)

l.) Newton.

Jużeśmy powyżej wspomnieli, że Bichat zamierzał fizjologiczne objawy sił w naturze i intellektualne w ludzkości, sprowadzić do zasad praw grawitacji przez Newtona odkrytych. Porzucono tę metodę, jako niezgodną z objawami woli, i tylu innych rozlicznych wpływów, którym organizm podlega. Zdawało się rzeczę niepodobną podciągnąć fizjologją i intelligencją pod formuły matematyczne. Jeżeli jednak rozważymy najnowsze klassyczne badania Queteleta*) na których nawet Henry Thomas Buckle oparł swoją historją cywilizacji angielskiéj, podziwimy niezmienne prawa statystyczne, dające tam nawet pewne wypadki, gdzie jak n. p. przy samobójstwach i ich rodzaju, największe zdaje się zostawione pole dowolności człowieka.

Autor ten rozdział słusznie temu przedmiotowi poświęca, dając w końcu dzieła swojego wskazówkę, jakby pod tym względem nawet zasady filozofji natury, pod ściśle prawa matematyczne podciągnąć można. Siły życia są w zasadzie te same, co siły grawitacji i odnoszą się do elementarnej siły przyciągania w odpychaniu. Jak siła pary da się obliczyć na siłę muskularną tylu a tylu koni, takby się obliczyć powinna siła woli monarcza lub narodu, nadającego prawa, wypowiadającego wojnę, sprawującego administrację państwa. Niesłychanego wpływu na wszystkie stosunki społeczne był chrystyanizm. A każdy fakt, każdy pomysł w życie wprowadzony, wywiera pewien zakres wpływu. Są i to objawy sił, dające się ująć w pewne liczby i formuły.

Cywilizacja zyskaćby tylko mogła na takich pewnych danych, i na równie pewnych, bo matematycznie wywiedzionych wypadkach. Wszakże „nie znalazł się jeszcze Newton, któryby wychodząc z praw rządzących siłami prostemi, przyciągania i odpychania, zastosował je do siły organicznéj do intelligencji, któryby obliczył w daném jestestwie potęgę wypadku sił w niem grających, ciągle czynnych, solidarnie jedna na drugą oddziaływających, jedna od drugiéj zależnych, a wszystkie razem całość harmonijną stanowiących." (str. 395.).

m.) Rzut oka filozoficzny na przyczynę upadku cywilizacji rodu ludzkiego.

Jeżeli rzecz o Newtonie, a raczéj o zastosowaniu praw fizjologicznych do praw grawitacji, w niejakim jeszcze zostawała stosunku do filozofji natury, to już traktat niniejszy, o tyle chyba tylko ma związek z przedmiotem głównym, że nam wskazuje jak siły intelligencji wśród ludzkości rozwijały się jak upadały i znowu się dźwigały.

*) Phisique sociale ou essai sur le develappement des facultés de e'homme. Paris 1869.

Dziś jeszcze obserwacje czynione nad dzikimi Indjanie dają nam pewne wyobrażenie, jaki mógł być stan dzikich ludzi żyjących w odległych epokach istniejącego już rodzaju ludzkiego. Człowiek w stanie natury nie miał innych potrzeb nad potrzeby fizyczne, przyciśniony głodem zjadł jeden drugiego bez żadnego wstrętu. Nie miał religji, ani moralności, ani obyczajów. Wszakże było w tych dzikich jakieś odległe poczucie wiary i podziwienia dla wszelkich obrazów natury. Mieli nawet wyobrażenia o życiu po śmierci.

Instynkt towarzyskości, instynkt mowy i możność uogólniania pojęć stawiły człowieka na szczycie królestwa zwierzęcego. Temi trzema środkami rozpoczęła się i podnosiła cywilizacja. Historja wynalazków jest historją cywilizacji rodzaju ludzkiego. Wynalazki druku, pary i elektryczności zniszczyły dlań czas i przestrzeń.

Jakkolwiek nauka wykryła ślady przedpotopowego człowieka, to jednak nic o jego duchowém usposobieniu nie wiemy i początki cywilizacji dopiero po ostatnim potopie mają miejsce. Czas potopu, mieszając z nią epokę stworzenia świata, naznacza księga Genezis wedle tłomaczenia septuaginta na 5382 lat. Na tę porę mniej więcéj i geognozja się zgadza, i księgi święte Indjan i nauka Konfucyusza. To téż chronologie narodów nie przechodzą trzech tysiący lat bez przerwy. Dzieje Fenicjan, Egipcjan, Babilończyków nie sięgają jak do piętnastu wieków przed Chrystusem a Pentateuch jeżeli przez Mojżesza pisany, liczyłby dotąd 33 wieki. To wszystko zdaje się dowodzić, że perjod ogólnego potopu, nie jest odleglejszy nad liczbę lat wyżéj wskazaną.

Pierwsza epoka cywilizacji była religijna. Nauki były tajemnicą i przywilejem pewne kasty; przechodziły z ojca na syna. Z Talesem zaczyna się epoka filozoficzna, która się rozwinęła w Grecji. W ostatniéj czyli trzeciéj epoce nastąpił podział nauk i pracy na rozliczne gałęzie.

Wszakże cywilizacja nie postępowała wciąż, ale bardzo nieraz długiemi przerwami. Co wykryły nauki, handel i przemysł, to niszczyły raz napady hord barbarzyńskich to znown tamowały głupota egoizm i chciwość człowieka. Na 58 wieków popotopowego istnienia ludzkości, zaledwie przypada trzy wieki postępu. Od Arystotelesa aż do XVI wieku była ciemnia. Nauki uciekły do klasztorów i tam się przechowały. Z celibatem, już nie przechodziły z ojca na syna, ale rozeszły się między świeckich.

Napływy ludów barbarzyńskich sprowadziły błogie w swoich skutkach krzyżowanie się rass. Rzym zniewieściały bez najazdu Gotów i Wandalów nie byłby się stał Rzymem późniejszéj potęgi, umiejętności i sztuki. „Gdyż Bóg nie stworzył człowieka dla jego osobistego szczęścia, lecz dał łzy i radość, życie i śmierć indywiduów, jak i całych pokoleń w interesie ogólnéj harmonji uniwersum, w której nie ma śmierci, w której śmierć nawet i zagłada jest życiem i odrodzeniem.“ (str. 415).

Jako główne przyczyny upadku cywilizacji zalicza autor: 1) mistycyzm i fanatyzm religijny; 2) monopol i rutynę naukowę; 3) barbarzyństwo, dzikość i złość człowieka; 4) brak moralności; 5) wyzyskiwanie człowieka przez człowieka; 5) używanie słowa na kłamanie własnéj myśli; 7) nieharmonją rozumu i serca.

Człowiek o tyle jest słaby, o ile jest zwierzęciem, o tyle potężny, o ile jest człowiekiem. „Jest coś wyższego nad egoizm nad rodzinę i nad ojczyznę, a tém jest ludzkość.“ (str. 418).

To ostatnie autora zdanie, acz prawdziwe, wymówione bez zastrzeżenia, mogłoby postawić kosmopolityzm, jako najwyższą cnotę społeczną. Tak nie jest. Prawda, że Chrystus nie za samą tylko Judeę, ale za cały ludzkość na krzyż się ofiarował; wszakże był równie dobrym, kraj swój, kochającym żydowinem, jak był przykładnym synem. Miłość ludzkości nie zaciera ani miłości rodziny, ani miłości przyjaciela; i owszem wszystkie te miłości konserwuje i podnosi; ale nie chce egoistycznego ograniczenia tych uczuć szlachetnych dla nich samych, owszem żąda ich poświęcenia, gdy tego wymaga potrzeba, i wymaga współudziału, gdy chodzi o postęp i rozwój interesu publicznego.

(Dokończenie nastąpi.)

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

I.

Scena na balu.

Kto znał przed kilkudziesięciu laty towarzyskie życie Lwowa, a mianowicie téj klasy arystokratycznéj, która siebie samą zwykła nazywać par excellence „towarzystwem“ przypomni sobie niezawodnie panią hrabinę Atalję i jéj salon. Nie było domu w całéj stolicy, któryby miał taką sławę pod względem gościnności i towarzyskich zalet. Sława ta utrzymała się dotąd w pamięci wszystkich dawniejszych znajomych hrabiny Atalji, a przynajmniéj żaden salon późniejszy nie zdołał jéj zatrzeć a nawet osłabić. Nadzwyczajnie bogata, nie młoda już wdowa, hrabina Atalja miała jedną już tylko ambicję, a ambicja ta zasadzała się właśnie na utrzymywaniu najświetniejszego salonu, w którymby cały najwytworniejszy i najznakomitszy świat stołeczny, cały tak zwany kwiat społeczeństwa, znaleźć mógł ognisko czy to eleganckiéj konwersacji, czy hucznych zabaw.

Była to jedna z coraz rzadszych już dziś dam wielkich, która przechowywała tradycję najświetniejszéj epoki salonów francuzkich i posiadała tajemnicę wyższego towarzyskiego życia. Talentem konwersacyjnym, jenialnym prawie sprytem towarzyskim, szczególniejszym darem organizacyjnym, dama ta godną była stanąć obok najznakomitszych gospodyń francuzkich. Posiadała ona wyższe poczucie potrzeb towarzyskich pod względem artystycznym i literackim, jak owe sławne panie Geoffrin, Staël lub Recamier, a z poczuciem tém łączyć umiała cały effekt wysoce arystokratycznéj świetności, która przypominała poniekąd najsławniejsze salony restauracji.

Nieznużona w zabiegach, niewyczerpana w pomysłach i środkach, pani Atalja zasługiwała zupełnie na miano genjalnéj gospodyni. Była prawdziwą mistrzynią w urządzaniu wieczorków, recepcyjek, herbatek artystycznych, teatrów amatorskich — ale koroną prawdziwą zasług jéj towarzyskich bywał bal wielki, który dawała dorocznie wśród zapust. W annalach każdego karnawału bal pani Atalji stanowił prawdziwą epokę, punkt kulminacyjny zabaw zapustnych.

Otóż na jednym z tych balów rozpoczyna się opowiadanie nasze. Pani Atalja zajmowała cały osobny pałacyk na jednéj z dalszych ulic stolicy, a jedno całe olbrzymie piętro służyło za widownię balu. Wśród długiéj emfilady przepysznie udekorowanych sal i salonów, oblanych magiczną powodzią światła, roiła się ogromna

ilość gości, w których gronie spotykałeś wszystkie znakomitości stolicy, wszystko, co tylko świeciło blaskiem pozycji społecznéj, urokiem piękności lub sławą dostojnego rodu.

Bal przedstawiał prawdziwie czarodziejskie widowisko. Fale światła, tony wybornéj kapeli, upajająca woń perfum i bąlsamiczne, słodkie tchnienie żywych kwiatów, których w olbrzymiéj ilości użyto do ozdoby sali i salonów, czarowny widok tylu pięknych kobiet, zarówno strojnych w wdzięki urody, jak w przepych kosztownéj toalety, wszystko to składało się na ową atmosferę rozkoszną, która dziwnym szałem zwykła przepełniać serca i imaginacje wstępujących dopiero w świat dziewic, a któréj powabnym wpływom nie zdoła się oprzeć pierś najsurowszych, najzimniejszych nawet kobiet.

Gdy taki bal zawre wybuchem wesołości, gdy do taktu rozkosznego i rozmarzonego walca zabiją tętna tancerzy i tancerek, natenczas jakby za skinieniem różczki magicznéj wolnieją konwenansowe sztywności, osłabia się rygor form, a obserwator, z bystrzejszém nieco okiem, dopatrzy najciekawszych i najcharakterystyczniejszych objawów.

Ta młodziutka jasnowłosa dziewczynka, z tym nadobnym puchem wiosennym na pięknéj twarzyczce, po raz pierwszy w życiu wstąpiła w progi tego uroczego, zaczarowanego świata woni, światła i melodji... Jakie pomięszanie, jaka trwoga niemal naiwna malowała się na liczku, jak zawstydzonemu oku spieszyły w pomoc długie jedwabne rzęsy, kiedy panienka ujrzała się nagle w tym wirze zabawy! Pierwszy taniec więcéj jéj kłopotu i pomieszania niż przyjemności sprawia; koniuszkiem swych drobnych paluszków ledwie dotknąć się śmie ręki tancerza, nóżki jeszcze nie uzyskały swobody, jakby w obawie, czy nie poślizną się w nagłym zakręcie, czy nie zmylą taktu...

Jedna godzina balowa zmieniła do niepoznania pensjonarkę... Patrz, oto przemyka się w wirze téj szalonéj polki, któréj nuta ulatuje z instrumentów orkiestry z jakąś frenetyczną, upajającą werwą!... Twarzyczka dotąd nieśmiała ożywiła się wyrazem zapału, na licach nie majaczy już tylko sam rumieniec pomięszania, płoną one już od ożywionéj krwi młodéj; rzęsy już wypowiedziały służbę trwożliwéj skromności, czasem już tylko spuszczają się na źrenice, a i wtedy przebija się z pod nich żar oka... Kilka rozkosznych taktów muzyki, jedno koło zakreślone wkoło sali w tanecznym wirze, śmielsze dotknięcie kibici ramieniem męzkiém — wywołało całą rewolucję w młodem serduszku, przepełniło je tajemniczemi jakiemiś szeptami, otworzyło mu nowy, nieznany dotąd horyzont... a jedna godzina, jeden walec stanęły za epokę w dziewiczych rojeniach...

Przed rozpoczęciem tańców siedziała, na uboczu nieco, kobieta piękna, ale z dziwnie dumnym i surowym wyrazem twarzy. W całém jéj zachowaniu się widać było nieprzystępną wyniosłość, prawdziwie odstraszający, zimny ascetyzm. Jest to kobieta, jak sobie szepce młodzież, le plus collet monté, uosobiona pruderja... Pycha Junony z rygorem Dyany rozsiada się na jéj marmurowém czole. Najodważniejszy śmiałek salonowy nie uzuchwaliłby się obrazić jéj przesadnéj skromności pustem słówkiem, a wszystkie lwy z wielkim respektem trzymają się w oddali.

Nagle zniknęła z zajmowanego miejsca... Szukamy jéj wszędzie i znajdujemy nareście w wirze par, mknących dokoła sali. Czy to ta sama kobieta?... Surowy, ascetyczny wyraz znikł z twarzy, zimny marmur czoła nabrał rozkosznego inkarnatu, oczy rozpałały ogniem prawie namiętnym, pierś skromna faluje tchem przyspieszonym, kibić i ruchy, co przedstawiały przed chwilą takie sztywne, surowe kontury, nabrały dziwnie powabnéj gibkości; ponętny czar oblał całą tę kobietę... Ramię jéj uwisło rozkosznie na ramieniu tancerza, dłoń ta sama, którąby zaledwie była zniosła przed chwilą pocałunek pełen respektu, drży teraz w dłoni mężczyzny, i uścisk jéj odwzajemnia...

Ale któż wypowie wszystkie tajemnice balowéj atmosfery?... Od tych ogólnych spostrzeżeń, które spisało już niejedno pióro, zdolniejsze od naszego, przejdźmy raczéj wprost do osób, z któremi na balu u pani Atalji zaznajomić chcemy naszych czytelników. Tém spieszniéj nam to uczynić wypada, że osoby te właśnie zaczynały w sali balowéj zwracać na siebie uwagę innych gości, a mianowicie złośliwych matron nietańczących bądźto dobrowolnie, bądź z przymusu.

W jednym z kątów sali znajdowało się maleńkie grono osób, na które niejedna z pięknych bohaterek balu spoglądała z pewnym niepokojem. Był to kącik obserwacyjny, osobna galerja krytyczna. Galerja ta składała się z kilku dam i panien nie pierwszéj urody, nie pierwszéj młodości, ale za to pierwszorzędnéj, nieubłaganéj złośliwości. Grono to siadywało zazwyczaj podczas balów u pani Atalji w jednym i tym samym kącie, obranym z strategiczną bystrością, pozwalającym mieć wygodny przegląd całéj sali i wszystkich przesmyków, a w końcu położonym tuż koło drzwi wiodących do pokojów, przeznaczonych do wypoczynku, do których spieszyły pary wprost z wiru tańca.

Stanowisko to było tedy wybornie obraném. Sofa, na któréj siedział trybunał ten krytyczny, umieszczona była pod olbrzymim, niemal pod sam sufit sięgającym kaktusem, który to kolczasty, najeżony do koła igłami potwór zdawał się być wyborném godłem małego gronka. Żaden taniec, żaden drobny wypadeczek, żaden strój, żadna fryzura, żaden giest lub uścisk ręki, żadno spojrzenie i żaden uśmiech nie uszedł bystrym oczkom tego niewieściego areopagu. Wiedziano o tém dobrze w towarzystwie, a ilekroć jakaś piękność, jakiś strój pyszny, lub jaki epizodzik balowy zwracał uwagę zgromadzonych, spozierano w ów kąt złowrogi i pytano:

— Co o tém mówią pod kaktusem?

„Pod kaktusem“ prezydowała pani Zenobia i hrabianka Innocenta, stara panna, mająca już około lat 50, wielce chuda, wielce ruchliwa i z namiętném zamiłowaniem do plotek i złośliwych komerażów. Oczy jéj siwe i małe latały po sali łowiąc spostrzeżenia, któremi natychmiast dzieliła się z panią Zenobią. Właśnie szeptała coś przyjaciółce swojéj do ucha, wskazując przytém spojrzeniami na jakąś niewinną ofiarę swéj żółci, gdy zbliżył się do kaktusa jakiś jegomość z farbowanemi bakenbardami, z małym rumianym noskiem i z szkiełkiem w zmęczoném oku. Był to najszczerszy przyjaciel i zwolennik kaktusowego grona, stary, przeżyty kawaler bez celu życia, biegający przez dzień cały z salonu do salonu, zajęty zbieraniem materjałów dla swych miłych przyjaciółek.

— Gdzieś się podziewał tak długo, panie Edwardzie! — zawołały chórem panie Zenobia i Innocenta — Cóż nam ciekawego przynosisz?...

— Byłem teraz między młodzieżą — odparł pan Edward, opuszczając szkiełko i sadowiąc się obok swych przyjaciółek — ale jaką ciekawą wiadomość przynoszę!

— Mówże pan zaraz i bez wstępu! — zawołała panna Innocenta.

— Byłem świadkiem wielkich debat i burzliwego głosowania. Debatowano nad tém, kogo ogłosić królową dzisiejszego balu... Wystawcie sobie panie... ale nie, proszę zgadywać...

— Pani Walerja? baronowa Marja?

— Ale gdzież tam... Ogromną większością głosów obwołano królową hrabinę Rokicką!

— Panią Adelę!

— Oui, mesdames! Pani Adeli przyznano palmę

pierwszeństwa, berło piękności i miano beauté eternelle!

— A, oui, beauté... vieille!

— Młodsze pokolenie poniosło klęskę zupełną!

— Ależ ta pani Rokicka, c'est une femme de quarante ans... Mój Boże, czas by już dla niéj... — ozwała się pani Zenobia, czyniąc gest złośliwy.

— Mais avouez, że ślicznie wygląda — przerwał pan Edward, — ta kobieta to nadzwyczajne zjawisko, przed dwudziestu laty nie była ładniejszą... Przedziwnie się umie konserwować...

— O tak, même dans ses folies... Ha, cóż robić, uznajemy królowę i akredytujemy pana przy jéj dworze...

— O już to dwór ma liczny! — szepnęła złośliwie panna Innocenta. — Biedny ten Rokicki! Comme je le plains! Zazdrość i taka... beauté eternelle, jak wy mówicie, podwójne nieszczęście!...

— Et monsieur Octave! — wtrąciła znacząco pani Zenobia.

— A ten pan Oktaw... To kuzyn przecież hrabiego. Rokicki go proteguje...

— I pani Rokicka także... — wtrąciła szybko hrabianka Innocenta — niechcę powtarzać rozmaitych rzeczy, a zresztą po co to mówić, każdy to widzieć może.

W téj chwili muzyka zagrała inwitację do walca. Pani Zenobia przerwała szepty z przyjaciółką i spoglądnąwszy po sali, zawołała:

— Otóż i ona! Pani Adela...

— I z nierozłącznym panem Oktawem... Ach! co za szept czuły! Regardez donc... jak on jéj patrzy w oczy, a ona! Pauvre general Rokicki!...

Para, która wywołała takie złośliwe ucinki pod kaktusem, godna była istotnie uwagi a nawet admiracji. Na ramieniu młodego bardzo mężczyzny opierała się zaprawdę prześliczna kobieta. Pani hrabina Adela, czyli pani jenerałowa Rokicka, nie była już kobieta najpierwszéj młodości, a w owych czterdziestu latach, przypisywanych jéj pod kaktusem, nie było wiele przesady. Mimo to jednak kobieta ta wyzywać mogła w szranki najpierwszą i najmłodszą piękność stolicy.

Bardzo tylko bystry i bardzo doświadczony obserwator odgadł by był wiek pani Adeli. Jeżeli w twarzy jéj pięknéj nie znać było owéj niepodobnéj do określenia świeżości, która jakby tchem wiosny oblewa młodziutkie twarzyczki, to za to uderzał w niéj całą swą pełnią blask życia, zachwycał pyszny rozkwit wdzięku i urody. Cała jéj postać zdawała się być ideałem piękności kobiecéj, dojrzałéj i skończonéj...

Głosy, o których raportował pod kaktusem p. Edward, padły istotnie na godny przedmiot. Jeżeli kto zasługiwał na miano królowéj dzisiejszego balu, to z pewnością pani Adela. Ubrana w przepyszną suknię żółtą, z dyademem brylantowym w czarnych włosach, kobieta ta była zjawiskiem prawdziwie imponującym.

Wysokiego wzrostu, zbudowana z nadzwyczajną gracją, pani Adela miała duże, czarne oczy, pełne głębokiego wyrazu i uroczych blasków, czoło nieco nizkie ale z szlachetnym wdziękiem sklepione, a na całéj swéj pięknéj twarzy ów nieuchwycony powab, który czuć i uwielbiać, ale opisać się nie da.

Młody mężczyzna, na którego ramieniu się opierała, mógł liczyć lat zaledwie dwadzieścia dwa. Słusznego wzrostu, wysmukły, zanadto prawie delikatnych kształtów, blondyn, z wąsikiem małym, miał w dorodnéj twarzy swojéj coś chłopięcego jeszcze. Przebijała się w niéj swoboda i naiwność dziecka, ale dziecka upartego i popsutego. Rysy twarzy nadzwyczaj subtelne i wytworne, cera gładka i delikatna, jakby niewieścia, miękkość uśmiechu i całego wyrazu twarzy, coś pieszczonego w postaci, wszystko to składałoby się na typ łagodny, wyłącznie salonowy, gdyby nie ciemno-niebieskie oczy, głębokie i namiętne, które jedném poważniejszém spojrzeniem umiały nadać twarzy charakter ważniejszy i podnioślejszy.

Jak to się już czytelnik dowiedział z rozmowy poosłuchanéj pod kaktusem, był to Oktaw, kuzyn pani Adeli. Nachylił się ku niéj i z zalotnym uśmiechem coś jéj mówił, ona słuchała z upodobaniem, a nagle ramię Oktawa oplotło ponętną kibić Adeli, dłoń jéj spoczęła w jego ręce i piękna para rzuciła się w odmęt walca...

W salonach pani Atalji bywało mnóstwo uznanych i sławionych piękności, a bal obecny zgromadził całą najświetniejszą Florę arystokratyczną, kto jednak bezstronném okiem oglądał migające się pary, ten musiał przyznać, że ze wszystkich najpowabniejszą byli Adela i Oktaw. Na twarzy tancerza i tancerki malowało się upojenie przyjemne, taniec ich miarkowany i konwenansowy zrazu, stawał się w miarę przyspieszającego taktu muzyki coraz szybszym i namiętniejszym Wszyscy nietańczący ścigali okiem tę parę, która zdawała się być plastyczném wcieleniem tych tonów, które z orkiestry rozlewały się czarodziejską falą po sali...

Muzyka grała walca, w którego wdziękach zdawał się być zaklętym cały jeniusz tego tańca. Była to kompozycja znakomitego niemieckiego maëstra, pełne niezrównanéj werwy, charakterystyki i uczucia. Była to apoteoza walca... Z sentymentalnych, słodkich, pełnych wdzięcznego liryzmu tonów wstępnych wybuchał szalony i odurzający wir taktów, które zdawały się porywać tańczące pary swym demonicznym prądem i rzucać je w zamęt najwyższego upojenia. W przedziwnéj téj kompozycji, która ówczesnego karnawału brylantem była tańców, łączył się sentymentalizm i rzewność liryczna z rozkoszną swawolą, wytworna gracja stylu z szaloną pustą werwą, słodkie marzenie miłośne z fanatycznym zachwytem bachantek. — Werther podawał dłoń Filinie, tęsknica Gretchen rozpryskiwała się w demoniczne takty Mefista...

Niesieni na skrzydłach téj przedziwnéj muzyki, Oktaw i hrabina Adela ledwo dotykać się zdawali posadzki sali. Hrabina Adela nieporównaną była tancerką, a Oktaw gracją i zgrabnością godnym był jéj towarzyszem. Drobna, powabna nóżka hrabiny posuwała się z eteryczną lekkością, pierś jéj prześliczna, godna zdobić cyteryjską boginię, nachylała się ku piersi Oktawa, oko lśniło rozkoszą i rozmarzeniem, a pełne, nadobne usta szukając tchu, rozchylały się lekko, jakby do miłosnego szeptu..

Tymczasem kółko pod kaktusem powiększyło się znacznie. Było to najwygodniejsze miejsce, z którego oglądać można było tańcujące pary; pani Zenobia i panna Innocenta mogły tedy popisywać się z swemi minkami przed liczném audytorjum. Tym razem jednak nie dano przyjść do słowa obom żeńskim Zoilom. Mężczyzni stojący w tém miejscu niewyczerpani byli w uniesieniach i pochwałach.

— Śliczna kobieta!... — zawołał jeden — et comme elle danse, comme elle danse!...

— Co za gracja, co za szlachetność ruchów, jaki powab! To fenomenalna kobieta! Od lat piętnastu pamiętam ją taką, wiecznie piękną i wiecznie młodą...

— Et toujours amoureuse... Miłość konserwuje... — zaśmiała się pani Zenobia, mówiąc niby szeptem, ale zawsze dość donośnym głosem.

— Chwalicie tancerkę, ale bo i tancerz godzien pochwały, — ozwał się ktoś z boku. Dobrana para!

— O i bardzo! — wtrąciła jedna z towarzyszek krytycznego trybunału pod kaktusem. — Istotnie, tak tylko zakochani tańczyć potrafią.

— Tant mieux pour ce petit Octave.!

— Tant pis pour ce grand général...

— Szczęśliwy Oktawek!...

Rozmawiające kółko nie uważało, że zbliżył się doń jakiś wysoki, imponującéj postawy mężczyzna, w podeszłym już wieku, zupełnie siwy, ale pełen jeszcze zdrowia i czerstwości. Skoro go spostrzeżono, nastąpiło milczenie, a mężczyźni ustąpili na bok, z oznaką głębokiego uszanowania. Był to jenerał, mąż Adeli, hrabia Rokicki.

Gdyby jenerała ujrzała była która z cenzorek pod kaktusem nieco wcześniéj, dostrzegłaby była swym bystrym wzrokiem niezawodnie, jak twarz jego przed chwilą drgnęła z lekka i okryła się żywym rumieńcem gniewu. Jenerał nie słyszał całéj rozmowy pod kaktusem, ale słowa płoche jednego z mężczyzn: „Szczęśliwy Oktawek!“ dobiegły jego uszu. Wtedy to wystąpiło na szlachetną twarz jenerała przelotne wzburzenie, i wzrok groźnie zwrócił się ku autorowi téj uwagi. Trwało to chwilkę tylko. Jenerał był snać panem siebie, bo spokój zupełny i obojętność powróciły na twarz jego, skoro poznał, że go uważano.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STRZASKANA LUTNIA.

Z wspomnień ostatniego powstania

przez

Henryka Merzbacha.

ἀνάγκη.

(Dalszy ciąg.)

Polak.

Czyście widzieli w górach poranek majowy,
Gdy we mgle nikną zdala gór śnieżyste głowy,
A kwiaty, na zielonéj Alpejskiéj dolinie,
Czekają, skrywszy główki, aż ta mgła przeminie.

Nie słychać śpiewu ptaków ani wód szemrania —
Smutny pastuch swą trzodę milcząco magania —
A dzwonki, co na szyjach krów alpejskich wiszą,
Bez echa, jakby we śnie, zwolna się kołyszą...

Lecz nagle mgła z gór spada w dziwacznych konturach —
A słońce się rozściela na perlistych górach
I przez blaski tęczowe w dolinę się wdziera...

I widok się odsłania — i kwiat się otwiera —
Ptak śpiewa — wody szemrzą — i z wesołą skronią
Pastuch słucha, krów dzwonki jak radośnie dzwonią!

* * *

Czy znacie i dni naszych majowe poranki,
Gdy mgła cierpień zawiśnie nad światem nadziei? —
Gdy więdną naszych marzeń czarodziejskie wianki —
I niknie świt miłości wśród zwątpień zawieji?

Nie słychać wtedy śpiewu duszy rozbudzonéj,
Co na strunach młodości jako hymn rozbrzmiewa,
Co zdobywa wawrzyny i szczęścia korony,
I świat wrażeń różaną jasnością olśniewa...

Lecz nagle mgła opada razem z łez strumieniem...
I znowu góry marzeń dumnie patrzą w nieba —
I lutnia drży, jak serce pod natchnień wrażeniem. —

Tak, młodość ma swe prawa jak wiosna swe kwiaty:
Jednego błysku słońca lub miłości trzeba,
By ustroić kwiat w blaski, a duszę w bławaty!

* * *

Ten błysk jeden zaświecił!... Przez chmury cierpienia
Przedarło się wspomnienie.. bo miłość nie znika:
Od kołyski dziecięcéj do grobu kamienia
Ona blaskiem tęczowym naszą pierś przenika!

O, kto raz cię ukochał, kobieto! ten wieki
Twój obraz pieścić będzie, choć w zwątpiałem łonie,
Jak najświętszą relikwię!... jak odblask dalekiéj
Gwiazdy, co niemowlęce oświecała skronie!

I ten blask cię ożywi, gdy już nic nie wzruszy
Grobowego uśpienia twéj zbolałéj duszy!
I ten blask cię odmłodzi — wyciśnie łzę z oka —

I z lutni zapomnianéj znowu pieśń rozbudzi...
I znów pójdziesz z tą pieśnią walczyć między ludzi —
I świat będzie cię słuchał jak swego proroka.

* * *

I pieśniarz się przebudził!... Lata cierpień, wspomnień,
Nadziei niespełnionych, przepłakanych nocy,
W jeden oddźwięk się zlały, w jeden twórczy płomień,
W jeden akord natchniony — w jeden duch proroczy...

Lecz dzisiejsza pieśń jego — już nie skargą bólu
Ale hymnem żołnierza, co za wolność ginie.
Na zgliszczach dawnéj sławy, w przodków kapitolu
On śpiewał o wskrzeszonéj pradziadów krainie.

Głos jego — byłło piorun co z nieba uderza!
Każde słowo pałało jak zbudzony krater —
On pieśnią swą namaszczał lud swój na rycerza:

„Narodzie! każdy syn twój kapłan i bohatyr!
Potomku wielkich ojców! — wołał do rodaków —
Umierać za Ojczyznę, to żywot Polaków!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Zbudziliśmy się po dwóch majówkach! Nieznam nic przykrzejszego nad „jutro“ wszelkiéj zabawy. Biały ranek nielitościwą ręką rozpędza wszystkie widma, któremi pieściła się wyobraźnia, chłodzi krew, obdziera ludzi i rzeczy z ich niedawnego uroku i szyderczo zaprzęga znowu do deptaka — zwanego życiem powszednim. Niepróżno powiedział Edmund Wasilewski:

„I po burzy omamienia
Smutna cisza w sercu siędzie;
A prócz ruin i zniszczenia,
Nic tam więcéj już nie będzie.
Ruin, z mar o wniebowzięciu,
Przy akordach strun pieszczonych,
W lubéj dziewicy objęciu
W zamęcie tańców szalonych.“

Wiersz ten dokładnie maluje stan nasz obecny, oraz wspomnienia ze świeżo odbytych majówek Szkoły Żabikowskiéj i Przemysłowców, z wyjątkiem tylko „akordów strun pieszczonych“ które, w obu razach, baterja dętych instrumentów zastępowała.

Poznań tak rzadko się bawi. To też ciekawą było dla nas rzeczą widzieć go, jak wychodzi nagle ze stanu zwykłéj nieruchomości, napełnia ulice białemi sukienkami i twarzyczkami różowemi, biega, z letniem okryciem na ręku, po dorożki, drożące się jak poszukiwana panna i pędzi na zabój do Dębiny lub Parku Wiktorji, końmi zadziwionemi, że przerwano ich poobiednią, nałogową przed Sobeskim drzémkę.

Tłumy powiększające się co chwila, jakiś rozpęd i ruchawica gorączkowa i nas pociągnęły za miasto. Nie szliśmy podziwiać natury: po drodze, drzewa pachniały pomadą a po trawie wił się błękitny dymek papierosów, — szliśmy zobaczyć raz tę dzielną młodzież agronomiczną, któréj tak dobrze bywa w mazurze, to znowu pracowitą i ruchliwą gromadkę Przemysłowców — dwie przodujące siły Wielkopolski. — We czwartek i w niedzielę modły bawiących się zatrzymały słońce na niebie, jak niegdyś Jozue, i odpędziły groźące chmurki.

Niebo się uśmiechało — powietrze było czyste, zapał taneczników nieudany, a dobrym ludziom patrzącym na uwolnioną z pęt konwencjonalnych młodzież, serdeczny uśmiech wychodził na twarze.

Piękny to zwyczaj te majówki! Jest to jak gdyby mimowolny hołd oddany potrzebie swobody i połączenia się towarzyskiego, istniejącéj nawet w mieście tak żyjącém w kółeczkach i pełném rezerwy, jak Poznań.

Zaledwo wesołe gromadki minęły kamienną obróżę fortecznych murów, już mogłeś widzieś rozmarszczającę się twarze, swobodniejsze ruchy, szczerszy śmiech i jakąś familijną poufałość związującą prawie obcych sobie ludzi. Niepodobna zostać chłodnym obserwatorem na takiém święcie wiosny. Wesołość cię zaraża, zapał porywa, ciepło serc ludzkich ogarnia: czujesz naraz wszystkie uczucia i instynkta poczciwe dobywające się z pod ołowiu ceremonji, którąś zrzucił. — Za to, z powrotem: im bliżéj miasta, tém bardziéj smutnieją ludzie, cichną głosy, zaśrubowują się ruchy i sentymenta, a pierwszy pęk promieni padający z okien wystawy na mieście, oświeca twarze przyzwoite przyzwoitych ludzi, którzy sobie mają maleńkie głupstwo do wyrzucenia.

Na drugi dzień — niesmak — trochę wspomnień powiędłych — rozdarte sukienki — i rzeczywistość!

* * *

Pod rubryką rzeczywistości, do któréj i nam wrócić wypada, należy zapisać najprzód świeżo wyszły numer „Osy“ Im mniéj wierzyliśmy, przed jéj ukazaniem się, w ostrość dowcipu i bogactwo materjału nowego pisemka, tem skwapliwiéj, obecnie, spieszymy wyznać naszą winę. Dowodzi to dobréj wiary posuniętéj do szczytu. „Osa“ nadspodziewanie ogarnęła sobą prawie wszystkie objawy Poznańskiego życia i dotknęła wielu śmieszności, których my, w naiwności serca i oczu, nie mogliśmy spostrzedz. Gdyby nie kilka chybionych kalem' urów, jeden zbyt mocno akcentowany skandal i jeden żart urągający świeżemu nieszczęściu, — „Osa“ zadowolniłaby nas była zupełnie.

Piszemy to z bezstronnością rzadką, dowodem, że stanowiąc integralną część Tygodnika, uczuliśmy także ukłucia, których Tygodnikowi nie szczędzono. — Postępujemy jednakże śladem Orędownika, choć zdaje nam się, że wraz z nim jesteśmy podobni do owego dowcipnego człeka, który słysząc że z niego się śmieją, łączy się z chórem żartownisiów i tym sposobem wydziera im ofiarę. — Nie można przypuszczać aby pokazanie się „Osy“ nie wywołało za sobą innych naprzykrzonych owadów humorystycznego rodzaju, których rola tem łatwiejsza, że początek dobry zrobiony. —

* * *

A będą nam zabawne rzeczy z dniem każdym potrzebniejsze, — miasto bowiem po majówkowym ruchu wraca do stanu martwoty. Oglądamy się z wyrzutem i smutkiem za Teatrem, który widocznie pomścić się chciał na nas i pomścić gorąco, bo z zapomnieniem własnego interesu: w Kaliszu bowiem, jak słychać, jeszcze niewdzięczniejsze od naszych biją serca, — oglądamy się więc i poczynamy ziewać zatrważająco. Chybabyśmy powodowani uczuciem obowiązku i sercem pomyśleli o wysłaniu kogoś w odwiedziny do galicyjskich Orłów i Sokołów, którzy, jak słyszymy, urządzają już komitety i kwatery na przyjęcie Wielkopolan, nie wiedzących jeszcze o tem, że jadą?!

Może miejsce ich zastąpić mają wysyłani w tych dniach przez komitet nowi kollektorowie akcji teatralnych na Galicję, którym bogdajby się udało wzruszyć serce Lwowian i Krakowian na korzyść naszego narodowego Teatru. Mamy dobrą nadzieję. Galicja tak ofiarna niedawna chlebem i datkiem dla francuzów, i swoim zapewne nie odmówi, a przyszły przybytek sztuki będzie się mógł poszczycić, że rękami większéj części Polski dźwigniętym został.

* * *

Teraz radosnym wykrzyknikiem zamknijmy tych kilka kartek z ostatniego tygodnia. — Wniosek o „języku polskim“ o którym z takim niedowierzaniem wspominaliśmy w przeszłéj kronice — przeszedł jednogłośnie. Możemy dzień ten czerwono zakreślić w pamiętniku naszych usiłowań.

Władysław Ordon.

Korespondencja z Krakowa.

Kraków, 24. czerwca 1871.

Ciężką ponieśliśmy stratę przez śmierć Dr. Karola Gilewskiego, profesora na uniwersytecie Jagielońskim a na ten rok dziekana wydziału medycznego. Zginął, jak żołnierz na wyłomie, — powiedział nad jego zwłokami Dr. Majer, niosąc ratunek choréj przyniesionéj do kliniki, gdyż od niéj zarażony tyfusem skórnym, plamistym, padł jego ofiarą licząc lat dopiero 38. Klika ultramontańska ucieszyła się ze śmierci dr. Gilewskiego, mieniąc skon lekarza karą Bożą za podpisanie adresu do Döllingera, pani...... jedna z dewotek tutejszych umyślnie po to przyszła do żony zmarłego..... aby jéj wyrazić w imieniu wszystkich swoich współwyznawczyń radość z choroby Dr. Gilewskiego, zapowiadając mu niechybną śmierć, bo jak się wyraziła, gorąco się o nią modliły. Katolickie duchowieństwo odmówiło zmarłemu dziekanowi wszelkich usług kościelnych, nawet katafalku pod trumnę dać nie chciało, czego dopiero z zamku dostarczyła komenda wojskowa. Exportacja zwłok odbyła się dnia 17. czerwca w Krakowie do dworca kolei gdyż zwłoki miały spocząć w grobach familijnych w okolicy Wiednia. Pochód żałobny czynił wielkie wrażenie, a był bardzo oryginalny, może pierwszy w Krakowie, bez udziału wszelkiego duchowieństwa. Nie było najemników, co modły swoje sprzedają, każdy czembądź się przysłużał, czynił to z serca, aby oddać hołd zmarłemu,

a ubiegano się w tém o lepsze. Tłum uczestników pochodu wzrósł do niesłychanéj u nas liczby; przypuścić można ilość wszystkich między 20 a 30 tysiącami. Wszelkie warstwy ludności Krakowa miały tu swoich przedstawicieli, wyjąwszy arystokracji herbowéj i ultramontańskiego stronnictwa. Brak ich właśnie uświetniał smutną uroczystość. Dumni mogą być Krakowianie z tego, że niczem nie zniewoleni, z najzupełniejszą swobodą umieli oddać cześć prawdzie i cnocie, którą ś. p. Gilewski reprezentował. Wśród przewrotnie sianych teraz pojęć, wśród tryumfów zbrodni i wszelkiéj podłości kiedy umysły samolubstwem owiane, chwiać się poczynają, gdy obrona prawdy naraża na szyderstwa, na prześladowania — zaprawdę, błogo było patrzeć na nieprzejrzany tłum krakowskiéj ludności, powodowanéj jedynie uczuciem czci dla zasad i przekonań, których bronił człowiek niesiony na marach.

Orszak pogrzebowy wyruszył o 6 godzinie z rynku z przed mieszkania ś. p. Gilewskiego. Straż ochotnicza w hełmach poprzedzała główny orszak, za nią szła muzyka wojskowa polskiego pułku, wybrana z pomiędzy wszystkich band muzycznych w Krakowie, ofiarujących swoje usługi przez cześć dla zmarłego. Daléj postępowali pedele z berłami czterech wydziałów uniwersyteckich; dr. Korczyński niósł na poduszce dyplom doktorski zmarłego i łańcuch dziekański; końce całunu rektor uniwersytetu i inni profesorowie, pochodnie nieśli doktorzy, na marach zaś spoczywała trumna pokryta kirem i wieńcami kwiatów, w któréj, dźwigała zwłoki, młodzież akademicka. Z krzyżem postępował naprzód jeden z medyków, a z sztandarami starsi cechów rzemieślniczych. Krzyż ów umyślnie sprawiono nowy na pogrzeb ś. p. Gilewskiego, gdyż księża krzyża z kościoła dać nie chcieli. Za trumną postępował cały senat akademicki z wyjątkiem kilku profesorów-księży z wydziału teologicznego; daléj sztab lekarski wojskowy w pełnéj gali i mnóstwo starszyzny wojskowéj, świat urzędowy, członkowie różnych korporacji krakowskich, znowu szereg strażaków w mundurach galowych, a za tem wszystkiem w około tłoczył się tłum intelligencji obojéj płci i różnego wyznania. Płeć piękna, w ogóle czarno ubrana nader licznem zebraniem protestowała przeciw wcielaniu jéj przez jezuickie stronnictwo w szeregi dewotek. Orszak krocząc bardzo wolno z powodu natłoku, w godzinę dopiero stanął na dworcu kolei przed wagonem, który miał daléj powieść zwłoki dziekana. Towarzystwo muzyczne Muza odśpiewało kilka utworów żałobnych, poczém dr. Majer prezes Tow. Nauk przemówił do zgromadzonych, podnosząc zasługi ś. p. Gilewskiego, jako doktora, profesora i jako człowieka, kończąc mowę temi słowy: „miał on odwagę wyznawać jawnie to, co wielu czuje, ale odezwać się nie śmie, a taił się z tem, z czego ludzie zwykle sią chełpią, to jest z dobrymi czynami.“ Bardzo małe koło najbliżéj stojących słyszeć mogło tę piękną przemowę z serca płynącą bez przygotowania wygłoszoną przez dr. Majera nad zwłokami obżałowanego dziekana, bo obszar miejsca tamował głos mówcy.

O prawdziwie chrześcijańskich uczynkach dr. Gilewskiego dopiero dziś się dowiadujemy, gdy obdarzani jego dobrodziejstwami czują się zwolnionymi ze słowa, jakiego wymagał ofiarodawca, gdy czynił komu co dobrego. Wielu z młodzieży akademickiéj zawdzięcza jemu swoje wykształcenie, gdy ich w biedzie ratował. Trzeba wyznać, że zastęp postępowy w Krakowie stracił w osobie dr. Gilewskiego jednego z głównych przewódźców. Rozpoczęto już pracę dla wzniesienia pomnika na placu przed kliniką dla ś. p. dziekana; jak donosi Kraj, artysta rzeźbiarz p. Henryk Stattler przybył i modeluje biust dr. Gilewskiego który ma stanąć na owym pomniku.

W majątku zmarłego odbył się pogrzeb w asystencyi duchowieństwa katolickiego, gdzie licznie zebranéj publiczności przewodniczyła w pochodzie delegacja z uniwersytetu Jagielońskiego. Jak się w tych czasach ludziom w głowach mąci, posłuży za dowód uczynek p. Wincentego Pola, znanego naszego poety szlacheckiego, który urządził z księdzem Janutką, proboszczem w Ruszczy nabożeństwo o nawrócenie się medyków krakowskich z herezyi· Zapewne niejeden z czytelników niedowierzająco się z tego rozśmieje, lecz cóż robić, gdy to prawda; po Krakowie śmieją się z téj ortodoksyi śpiewaka pieśni o ziemi naszéj.

W dniu 16 czerwca obchodził kościół 25letni jubileusz Piusa IX. na tronie papiezkim: w wieczór illuminowano okna u nas, a klasztory przesadzały się w ozdobieniu swoich kościołów to lampami, to malowanemi przezroczami; w manifestacyi téj brali udział nietylko ultramontanie, lecz i pobożni, z przekonania, jakotéż wielu z obawy wybicia szyb, tem się bowiem da tylko wytłomaczyć oświetlenie okien w tym dniu przez wielu innowierców. Kleparz, przedmieście krakowskie, gdzie pełni obowiązki proboszcza osławiony X. Golian, oświetlił drug raz w oknach we środę 21 czerwca na pamiątkę rocznicy koronacyi papiezkiéj. Gdyby fanatyzm religijny nie posługiwał się takim motłochem, jak na Kleparzu, gdzie się mieści gniazdo pijaków, złodziei i...... czego tu wymienić nie mogę, nie okrywaliby się ultramontanie taką śmiesznością, jak się u nas dzieje. Widziałem na własne oczy suto illuminowane okna szynków przepełnionych stekiem najbrudniejszych żywiołów społeczeństwa w czasie obchodu papiezkiego i słyszałem rezonujących pijaków, wśród taczania się od muru do muru, o kwestjach religijnych, których końcowym wynikiem były słowa: „patrzcie (wskazując na oświecone wieże kościoła św. Florjana), jak to nasza wiara górą, a masońska zdycha.“ Ubawić się można, słuchając na Kleparzu rozprawy między babami, między murarzami, gołębiarzami, naturalnie po niejednym kubku, o „masonach.“ Prawią im księża androny o masonach, sami nic nie rozumiejąc w tych kwestjach, a ciemny lud widzi „masona“ w każdym mądrzejszym lub bogatszym od siebie człowieku. Szerzą zarzewie nienawiści stanu jednego dla drugiego ci, co miłość zaszczepiać powinni; rezultatem tego może być zakończenie krwawe dla stron obu. Czarni ojcowie jezuici, pomimo dosyć warownie urządzonego swego pałacu, utrzymują sobie stale w dziedzińcu straż policyjną; policjanci na około ich budynków snują się ciągle; słyszałem jakąś dewotkę, która, nie mogąc zataić złego wrażenia na ludzi z obecności policjantów obok kościoła i klasztoru, właśnie winę na intelligencję uczoną składała.

O nudnych wyścigach angielskich koni odbytych d. 4. czerwca w Krakowie tyle tylko napomknę, że to rzecz wcale dla Krakowa nie nowa, jak ogłosiły dzienniki; bywały już za méj pamięci wyścigi na placu przed obserwatorium astronomicznem, nie mówiąc już o dawnych czasach. W XVI. bowiem wieku odbywały się wyścigi konne na rynku w Krakowie; Ambroży Grabowski podaje wykaz pieniędzy w rachunkach miejskich wydanych na nagrody dla wyścigowych zwycięzców w r. 1541.

Chociaż polemika zawsze musi być nudną, jednak zaczepiony odpowiedzieć muszę szanownemu koledze ze Lwowa na tę część jego korespondencyi do Waszego pisma pod dniem 5. czerwca, która mieści panegiryk na cześć pana Dobieszewskiego, referenta spraw lekarskich w wydziale krajowym. Właściwie najstósowniéj byłoby odesłać szanownego korespondenta do ustaw uniwersyteckich, których widocznie zupełnie nie zna, do tego nawet stopnia, iż nie wie, ile lat uczniowie na wszechnicach medycyny słuchać winni, gdy jednak chodzi tu raczéj o czytelników, aby błędnych wiadomości sobie nie przyswajali, rzecz cokolwiek wyłuszczyć wypada. — Stopień lekarza, tak jak stopień magistra chirurgii, daje prawo do praktyki, ale nie jest stopniem naukowym. W Rosji również po napisaniu rozprawy oryginalnéj otrzymuje się

doktorat, jak u nas, ale skoro p. Dobieszewski rozprawy nie napisał, dla tego doktorem nie został i dla tego nie mógł być nigdzie nostrifikowanym, nie tylko w uniwersytecie krakowskim — ale do egzaminu mógł być przypuszczonym. Gdy jednak p. D. nie posiadał tego, co się wymaga od każdego słuchacza tj. testacji z przedmiotów obowiązujących, zatem nakazano mu ich wprzód wysłuchać. Wyrwanie się więc Rady powiatowéj z Kamionki Strumiłowéj jest tem niedorzeczniejsze, że żądała zniesienia przepisu na uniwersytetach, którego nie ma, przyczepionego do źle pojętéj sprawy p. D. Najlepszym w tym względzie dowodem jest samo postąpienie pana D. że uznając słuszność nakazu wpisał się na anatomją patologiczną i medycynę sądową w Krakowie, jako uczeń i zawdzięcza już naszych profesorów pobłażliwości, że mu obecnie z jednego roku wykłady zatestowano bez słuchania, i do ministra posłano petycję o zwolnienie p. D. od drugiego roku studji a pozwolenie zdawania rygorozów lekarskich.

Co do kilkunastu lat praktyki pana D. choć to nic niemal nie znaczy w téj kwetji, może się najdokładniéj przekonać korespondent o swéj omylności, bo pan Dobieszewski dopiero przed kilku laty został lekarzem w Warszawie, pismo Klinikę redagował, jako student, a kilkanaście lat praktyki mógłby mieć gdyby był medycynę ukończył w 15 roku życia swego. Co do wartości rozpraw i Kliniki oraz czynności pana D. odsyłam Korespondenta do Przeglądu lekarskiego staraniem Tow. Naukowego w Krakowie wydawanego. Nikt nie zaprzecza zdolności lekarzom z pod zaboru moskiewskiego, ale zaprzeczamy ich panu Dobieszewskiemu, który za swoją rozprawę o urządzeniach szpitali, bardzo niekorzystnie przez lekarzy ocenioną, dostał przez protekcję posadę przy wydziale krajowym. Służy on interesom klerykalnym a nie lekarskim w Galicji, zacząwszy urządzanie szpitali od wprowadzania Szaretek, chociaż o tém oba towarzystwa lekarskie krajowe niekorzystnie się wyraziły; od urządzenia szpitali po moskiewsku, co dość dosadnie Przegląd lekarski wykazuje. Występujemy przeto przeciw panu Dobieszewskiemu nie dlatego, że się w Warszawie kształcił, ale że jest niezdolnym do posady, którą piastuje; mamy przytem prawo żądać od referenta spraw lekarskich w Galicji stopnia, który każdy lekarz a nawet sekundarjusz, praktykant szpitalny posiadać musi. Dalej mamy także do tego prawo już z samego tytułu powagi w obec podwładnych, również mamy prawo żądać od wydziału krajowego, aby nie pomijał lekceważąco całéj lekarskiéj inteligencji polskiéj, bo ta istnieje i możemy wykazać wielu lekarzy stokroć więcéj usposobionych na posadę zajmowaną przez pana Dobieszewskiego. Przejrzawszy sobie urządzenia uniwersytetów szanowny korespondent przekona się, że na całym świecie, wyjąwszy Ameryki, nie wolno nikomu praktykować bez nostrifikacji, nietylko we Francji, ale nawet w Turcji. Wolno wprawdzie wszechnicom powoływać do siebie zasłużonych ludzi, dając im tytularne doktoraty, aby ich od egzaminów uwolnić, jak np. w Krakowie uczyniono z dr. Janikowskim, który nie posiadał austryjackiego doktoryzatu, ale że Uniwersytet Jagielońskí pana Dobieszewskiego zasług nie zna, więc go od spełnienia przepisów nie miał powodu zwalniać. Niech nam korespondent lwowski nie zarzuca parafiańskich interesów, bo właśnie w Krakowie niemi się nikt nie powoduje, na co mógłbym mnogie przykłady wyliczyć, jeśliby tego wymagała potrzeba. Któż to na rzecz Lwowa dla dobra sprawy narodowéj dobrowolnie rzekł się swego namiestnictwa a tem samem podziału Galicji na wschodnią i zachodnią, jeśli nie my Krakowianie? manifestując jawnie swoje uczucia w téj sprawie na zgromadzeniach ludowych w tym celu odbytych!

Przecież raz Rada naszego miasta obrała dnia 19 czerwca godnego stanowisku delegata do Rady szkolnéj z Krakowa, w osobie Dr. Eug. Janoty. Jest to człowiek ze wszech miar najodpowiedniejszy na tę godność, nietylko z powodu swéj gruntownéj nauki, spraw szkolnych świadomości ale i z przyczyny wielkiéj prawości charakteru, nie dającego się powodować żadnymi ubocznymi względami, jak niestety wielu dygnitarzy w naszych władzach autonomicznych. Wszechstronna Dr. Janoty wiedza, czego dowodem są jego liczne prace historyczne, filologiczne, topograficzne i przyrodnicze, zadziwia i nasuwa pytania, kiedy on tyle mógł zdziałać, będąc ciągle profesorem przy gimnazjum Ś. Anny w Krakowie. Nie miał zapewne czasu na zaludnianie knajp, jak to czyni bardzo wielu z kolegów jego profesorów którzy odbywszy pańszczyznę w swoim zawodzie, daléj się już nie kształcą.

Dr. J. Majer forytował na posadę owego radzy szkolnego pana W. kandydata ultramońtańskiego i zarazem Stańczyka. Przypuśćmy, że pan W. posiada kwalifikacje na radzcę szkolnego; ale wprowadzanie do rady szkolnéj żywiołu ultramońtańskiego nie mogłoby w żadnym razie wyjść na dobro kraju, zwłaszcza, gdy lwowska rada szkolna jeżeli posiada jakie zalety, to tę najpierwszą, iż nie popiera jezuickich tendencji. Nie mogło się, w téj, kwestji wielu ciasnym mózgownicom pomieścić, jakby to mógł dr. Janota z profesora podległego nie tylko radzie ale nawet swemu dyrektorowi zostać naraz zwierzchnikiem, jako radca szkolny; o ile mi wiadomo, we Lwowie większość radców odgraża się, że dr. Janocie urlopu nie dadzą z profesury, a tém samem nie dopuszczą do swego grona, tymczasem minister oświecenia przeciął już, jak się poufnie z Wiednia dowiedziałem, całą tę łapkę i trudności dla dr. Janoty, przeznaczywszy go na profesora literatury niemieckiéj w Uniwersytecie lwowskim.

Do katedry na Wawelu funduje nowy główny wielki ołtarz gotycki drewniany, ks. Dr. Karol Teliga kanonik i dziekan kapituły Krakowskiéj, były rektor uniwr. Jagiel. Podobno do téj fundacji nakłania ks. prałata oprócz chęci zostawienia po sobie pamiątki, potrzeba restauracji obecnego ołtarza w stylu barocco, z olbrzymim obrazem Chrystusa na krzyżu, malowanego przez Dolabellę nadwornego malarza Zygmunta III. Kosztowna to będzie fundacja, wyniesie zapewne kilkadziesiąt tysięcy guldenów, lecz się obawiamy, aby chęci nie skoszlawiły się w wykonaniu, gdyż, o ile nam wiadomo, plan na ów ołtarz nowy rysuje tutejszy snycerz Józef Brzostowski. Niechby on wykonywał ołtarz, ale nie według swego planu, który nigdy dobrym być nie może, bo chcąc co nowego utworzyć, trzeba znać styl na wskróś i wszelkie tajniki architektury, a pan Brzostowski nie miał się kiedy z nią obznajomić; niechby więc został wykonawcą tego, co zdolny, fachowy że tak powiem człowiek, nakreśli. Do katedry na Wawelu ma prawo cały naród, kto chce w niéj czynić zmiany choćby najlepsze, winien się odwoływać do woli całego kraju, bo targnięcie się na skarbiec Polski nawet, z najlepszych, pobudek nigdy się usprawiedliwić nie da. Życzeniem tedy jest Krakowian, aby ks. Dziekan, skoro tak piękny dar chce ofiarować katedrze, ogłosił konkurs publiczny, wyznaczywszy odpowiednią nagrodę za najlepszy plan. Projekta wystawione publicznie osądziłaby publiczność, poczem stosując się do opinji publicznéj, komisja złożona ze znawców w sztuce przyznałaby najgodniejszemu planowi pierwszeństwo, wtedy ks. Teliga, skoro ze swéj kieszeni na to chce łożyć, mógłby sobie swemu nadwornemu snycerzowi ołtarz dać wykonać, pod dozorem autora przyjętego planu. Tego wymaga słuszność i odpowiedzialność kapituły krakowskiéj za całość katedry na Wawelu. □

Pannie L. K.

Dwie piosenki.

I.

Och! echo moje słodkie!...

Jak przez las małe dziecię
Zbłąkane i nie swoje,
Tak idę ja po świecie,
Jak przez las małe dziecię,
Ze strachu śpiewające,
Tak idę ja po świecie —
I wznoszę pieśni drżące,
Bo strasznie się ach! boję!...

W około cisza głucha;
Noc wisi groźna, blada;
Ani żywego ducha!
W około cisza głucha;
Od zmroku do zarania
Ani żywego ducha:
Na płacze i wołania
Nikt mi nie odpowiada!...

Aż, z głową w ogniach całą,
Rozpacznie, nieprzytomnie —
Wiewając chustką białą
I z głową w ogniach całą —
Głos rzucam w przestrzeń ciemną:
— Mam głowę w ogniach całą,
O zlituj się nademną...
Kto żywy, pójdź tu do mnie!

— Pójdź do mnie! brzmi z daleka,
— Pójdź do mnie! brzmi wciąż ciszéj,
Ktoś woła i ucieka;
Pójdź do mnie! brzmi z daléka
Wciąż jedną dzwoniąc zwrotkę,
Ktoś woła i ucieka:
Och! echo moje słodkie
Zaczekaj!... Stój!... Nie słyszy.

II.

Zawieszony.

Tak wysoko po nad ziemią,
Gwiazdeczko!
Tak głęboko po pod ziemią,
Mateczko!

Widzę światłość po nad sobą, —
Olśniony,
Czuję ciszę po pod sobą —
Wzburzony!

A nie wzlecieć mi do gory
Wysoko,
Ani zejść już raz pod ziemię
Głęboko:

Tu, na poły rozdarty
Duch wiszę,
A wiatr każdy mną dziko
Kołysze!...

28 maja 1871. **Wł. Ordon.**

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

Wstęp.

Pogląd na spory polityczne w wiekach średnich.

(Ciąg dalszy.)

Jedyny, lecz ginący w ogólnéj sumie zdań, wyjątek robi tu Chryzostom. U niego to poraz pierwszy spotykamy się ze zdaniami, które kilka wieków późniéj okazawszy gorącą chęć zastosowania praktycznego, niszczący pożar wojny papieztwa z cesarstwem rozniecily. Godność duchowieństwa wyższą jest od porządku świeckiego; król rozdaje tylko urzędy, ksiądz zaś zmazuje grzechy, król wojuje przeciw barbarzyńcom, ksiądz zaś przeciw złym duchom. Król, mówi daléj Chryzostom, zniża głowę pod błogosławiącemi go rękoma księdza, ztąd widoczną jest rzeczą, iż ksiądz jest wyższy od króla.“ Słowa te nie miały wówczas praktycznego znaczenia i przeszły niepostrzeżenie, zwłaszcza że w innym miejscu Chryzostom oświadcza się za władzą cywilną i nikogo z pod niéj nie wyjmuje.

Zanotować nam jednak należy, iż zasada późniejszych sporów władzy duchownéj ze świecką postawioną została przez Chryzostoma tak, jak pierwsza teorja prześladowań religijnych wyszła z pod pióra Augustyna.

Taki jest pobieżny rys interesującéj nas strony Chrześcianizmu w pierwszych 4 wiekach jego trwania. Dotąd o tyle tylko wpływ jego szkodliwy był politycznéj organizacji społeczeństwa, iż wystawiwszy niepodobny do osiągnięcia ideał zaparcia się wszelkich doczesnych stosunków i swéj własnéj materjalnéj istoty, wyłączał najszlachetniejsze jednostki z porządku ogólnego, a na miejscu swobodnych badań zwróconego ku walnym celom umysłu, postawił najskrajniejszy ascetyzm i obojętność na wszystko co ziemskie! Jakie zaś klęski, w ręku niegodnych następców Piotra zostający kościół, zadał państwu i rozwojowi ducha ludzkiego, zobaczemy w dalszym ciągu tego wstępnego rozdziału.

§. III.

W wieku V kiedy byt kościoła został ostatecznie utrwalony, przychodzą wędrówki narodów. Napływ barbarzyńców ze wschodu druzgocząc byt polityczny spruchniałego Rzymu, odjął zarazem, nowo tworzącym się na zachodzie Europy państwom, wszelką styczność z nauką starożytnych o państwie. Nastaje smutny perjod 5 wieków ciemnoty, w którym ludzkość doszła do tak głębokiego upadku iż my o nim zaledwie słabe wyobrażenie mieć możemy. Jedni tylko księża, z czego wielką mają zasługę, w legendach i podaniach, piśmie i słowie o rzeczach bożych, przechowywali słabą iskierkę oświaty, z któréj od XI wieku duch ludzki coraz to silniejszym zagorzeć miał płomieniem. Dotąd, z natury swego stanowiska, używało duchowieństwo zupełnéj,

niczém nieograniczonéj powagi; w ciasnych granicach życia prywatnego, w familji, zarówno jak u tronu królewskiego rządziło ono według swéj woli bez najmniejszéj obawy konkurencji, cała oświata, cała władza leżała w jego rękach. Od IX jednak, szczególniéj zaś od XI wieku dotąd niewzruszone stanowisko księży zwolna chwiać się zaczyna, a w miarę tego zmienia się téż i ich stosunek do władzy świeckiéj i szerzenia oświaty [1]). W wieku IX od czasów Karola Łysego, z przemianą posiadłości dożywotnich na dziedziczne (r. 877) zjawia się pierwszy system świecki zwany feodalnym, od w. X, z przybraniem nazw rodowych, wyrabiać się zaczyna arystokracja świecka, a stając koło tronu zwraca na siebie uwagę i przeciwważy wpływ duchowieństwa, równocześnie traci ono przywiléj wolności od wszelkich ciężarów państwowych, jakiego od IV wieku używało, różnica władzy świeckiéj i duchownéj coraz bardziéj uwydatnia się, a zarazem występuje stan duchowny z zuchwałemi, zaczynającemi spory o supremacją, pretensjami, których pierwszym wyrazem są „fałszywe dekretalia“ [2]) i w nich zawarte „Pseudo-Klementyńskie listy“ nibyto przez żyjącego około roku 91—100 papieża Klemensa I pisane, a jawnie wówczas już głoszące wyższość władzy duchownéj. Tak jak rozwój systemu feodalnego spowodowuje w IX wieku pierwsze wystąpienie zaczepne duchowieństwa przeciw władzy świeckiéj, tak pierwsze niezależne od księży wystąpienie umysłu na drogę badań, wywołuje z ich strony ścieśnienie oświaty. Pierwsze ciosy wymierzone przeciw władzy świeckiéj, jak również prześladowanie niezawiśle od wiary szerszym badaniom oddającego się ducha ludzkiego, zaczyna się na serjo w IX wieku. „Od téj chwili, mówi Bückle, rozpoczęła się nieustanna walka pomiędzy temi dwoma wielkiemi stronnictwami, pomiędzy obrońcami badania i obrońcami wierzenia; walka, która jakkolwiek może być maskowana i pod jakiemikolwiek objawiać się kształtami, jest w gruncie rzeczy zawsze taż sama; wyobrażająca wprost przeciwne sobie interesa rozumu i wiary, skeptycyzmu i łatwowierstwa, postępu i wstecznictwa; walka pomiędzy temi, którzy ufają w przyszłość, a tymi, co ślepó trzymają się przeszłości.

W X wieku zaczęte spory na chwilę przycichają [3]) aby w XI z całą zapamiętałością wybuchnąć, w XII w poraz pierwszy widzimy odezwy papiezkie wzywające władzę świecką do karania heretyków, w XIII zaś władza papiezka dochodzi do szczytu potęgi, lecz zarazem do kresu od którego cofać się zaczyna.

Ani rozporządzenie do „inquisitoribus haereticae pravitatis“ znanego z niepomyślnych swych z Manfredem [4]) zatargów Alexandra IV (hr. Segna), ani wydarcie Sycylji Hohenstaufenom dokonane przez Klemensa IV zwolna postępującéj Nemezy nie odwróci. Od czasu jak jeden z najzuchwalszych papieży, Bonifacy VIII, w osobie Filipa Pięknego znalazł swego pogromcę, papieztwo coraz staje się słabszém. Przeciwnikiem jego nie są sami tylko królowie, nie już pojedyńcze herezje, lecz coraz głębiéj badający, coraz bliżéj do samopoznania, do poczucia prawdy, do rozróżnienia treści i formy dążący duch przebudzonéj ludzkości.

§. IV.

Zauważyliśmy już, że wiek XI jest tą epoką w wiekach średnich, w któréj wyzwalające się z pod opieki kościoła społeczeństwo, zaczyna zwolna, niezawiśle, pracować nad roz ojem i pielęgnowaniem łączących go ze światem stosunków, lecz zarazem napotyka w dawnym swoim opiekunie, najżarliwszego wroga. Grzegorz VII i cesarz Henryk IV w polityce, Mistycy i Dyalektycy w filozofji, oto pierwsi śmiertelną walkę otwierający szermierze. Jakkolwiek przedmiotem niniejszego wstępu może być tylko rys walki i argumentacji papieża z cesarzem, jakkolwiek nie naszą jest rzeczą dawać tu przegląd literatury średniowiecznéj, to przecież dla porządku damy w paru słowach rys historyczny téj quasi filozofji.

§. V.

Filozofja średniowieczna znana jest powszechnie pod mianem Scholastyki, pochodzącym od szkół (scholas), które dla kształcenia się duchownych osób przez Karola Wgo założone zostały. W zakładach tych wykładano przedewszystkiém kościelne dogmata, z po za granic których recypowana z czasów starożytnych dyalektyka wysuwać się nie ośmielała. Stosowanie zaś dyalektyki do teologji sprowadziło zupełne pomięszanie obu i zrodziło ten rodzaj formalistycznéj w wiekach średnich panującéj filozofji, którą nazywamy Scholastyką. System téj filozofji [1]) w traktowaniu przedmiotu a priori polega na wystawieniu największéj możliwie liczby argumentów mówiących pro i contra, w formie syllogistycznéj i rozstrzygnięcia sprzeczności zdaniem Arystotelesa, Augustyna, lub innych ojców kościoła. Pierwszy perjod istnienia téj filozofji, zaczynający się, podług Tennemanna, w IX, a idący do XII wieku, przedstawia nam zupełne, najściślejsze połączenie dyalektyki z mistycyzmem. Jest to perjod wyłącznie przez duchowieństwo uprawianéj oświaty, do którego pierwszorzędnych uczonych należa Jan Skotus Erigena, Bercugar z Tours, Anzelm z Kanterbury i inni.

W początku XII wieku zaczyna się drugi perjod Scholastyki otworzony spowodowaną przez Roscellina niezgodą i odłączeniem się dyalektyków (nominalistów) od mistyków (realistów). Roscellin utrzymywał, iż ogólne pojęcia nie są niczém inném jak tylko słowami, mianami (nomina), podczas gdy przeciwnicy jego twierdzili, iż pojęcia nie tworzą się w umyśle, lecz są mu dane jako objektywna realność (res), któréj są treścią. Do nominalistów oprócz Jana Roscellina należą Wilhelm de Champeaux i uczeń jego znany z smutnych kolei życia, kochanek Heloizy Abélard, do realistów zaś przedewszystkiém najznakomitszy po Augustynie uczony kościoła, prawdziwa dusza mistycyzmu Bernard, Hugo de St. Victor i cała jego szkoła, nadto sławny z zapamiętałości, gwałtowny wróg władzy świeckiéj, przyjaciel Tomasza Kesketa, Jan z Salisbury. Perjod ten kończy się wyklęciem nauki Roscellina na zebraniu w Soissons i prześladowaniem nominalistów.

W 3cim perjodzie trwającym do początku XIV w., do którego zaliczają się Alexander Halesius (doctor irrefragabilis) Wincenty de Bauvais, Ryszard Middleton. przedewszystkiém zaś Bonawentura (Jan de Fidanza), Decus Scotus i Tomasz ab

---

[1]) Patrz dla detali: Sismondi Hist. des Francois t. III. Klimrath Hist. du droit. Meyer Instit. Judic. Guizot Civ.

[2]) Jest to zbiór ważnych papiezkich dekretów, przypisywany Izydorowi, arcybiskupowi Sewilli, zmarłemu w 636 r., sfałszowany jednak w IX wieku, prawdopodobnie na wschodzie Niemiec, zkąd się rozszedł po świecie.

[3]) Przerwanie sporów nastąpiło w skutku bardzo prostéj przyczyny. Po Mikołaju I, pierwszym koronowanym papieżu następuje Sergius III, a z nim 100 lat kompletnego rozprzężenia na stolicy Apostolskiéj. Wpływy hrabiów Toskańskich okrywają papieztwo hańbą, klucze Piotra nabywają się za pieniądze, na stolicy zaś jego zasiadają faworyci osławionych rozwiązłością hrabin Teodory i Marocji jak np. 18-letni Jan XII w r. 956 i 12-letni Benedykt IX w r. 1033. — Koniec temu położył Mikołaj II w r. 1059 oddając elekcją papieża w ręce kardynałów.

[4]) Syn Fryderyka II Hohenstaufen i 4téj jego żony Bianki z margrabiów Lanzia.

---

[1]) System ten najbardziéj plastycznie poznać można w dziele Occama z XIV wieku. „Octo questiones super potestate et diquitate papali.“ Obszernie przedmiot ten traktują między innemi Tiedemann, Stuhle i Tennemann.

Aquino, oba kierunki łączą się na nowo z widoczną jednak preponderencją realizmu. W 4tym perjodzie nakoniec walka nominalistów (Scotistów) z realistami (Tomistami) odnawia się i kończy zupełnym zwycięztwem pierwszych, dokonanym przez znakomitego ucznia Decus Scota, Wilhelma Occama w połowie XIV wieku — Od téj pory najżarliwsze prześladowanie nominalistów żadnego już połączenia sprowadzić nie było w stanie. Rozłąka filozofji z teologją staje się zupełną, a duch ludzki wchodząc na drogę, niezawisłych od powagi kościelnéj badań, przygotowuje epokę skeptycyzmu i reformacji, des Cartes'a i Bacona de Verulam, od których datujemy nową historją i nową cywilizacją.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z ZAPISKÓW KOLEKTORA.

(Dalszy ciąg).

Kiedym wyszedł za peron, z tłómoczkiem moim w rękach, — staroświecka landara, na niskich kołach, zaprzężona w cztery taranty, mignęła mi przed oczyma... przed półotwarte jéj okno, widać było sędziwą, mocno rumianą matronę, mającą dwa koty na kolanach; z głębi karety dobywało się miauczenie.

Nowa moja znajoma, dziewczyna w elkowéj salopie, zainstalowana już była na przodzie: i ona miała na kolanach kota. — Lokaj w poważnem czarném futrze, popstrzonem cętkami spadającego śniegu, pomagał wsiąść do karety mężowi...

Naraz usłyszałam przeraźliwe miauknięcie i w ślad zatem głos pełen wyrzutów...

— Ach! mój Boże, Heliodorku! nadeptałeś Mimi na ogon!...

Nie dosłyszałem odpowiedzi; landara ruszyła z miejsca tęgim kłusem, — i wnet zniknęła mi z oczu — tylko echo przyniosło mi jeszcze gniewliwe burczenie obrażonego zwierzątka...

Byłem sam jeden, w nieznajomem mi miasteczku. Śnieg padał coraz gęstszy. Wieżowy zegar, rozbitym głosem zaintonował 10 godzinę. Trzeba było szukać schronienia na noc. Ztąd jutro rano miałam ruszać daléj. Stałem, niepewny kogo zapytać się o hotel albo jakąkolwiek oberżę. Ulice były puste... ostatnie światełka w ognach gasły, gdzie niegdzie stuknęły drzwi zamykające się gwałtownie, — przenikliwym gwizdem odpowiadały sobie piszczałki stróżów. Jedna z nich odezwała się niedaleko — obok jakiejs wysokiéj, sterczącéj w ciemnościach massy — zapewne owéj szubienicy, o któréj tak erudytnie rozprawiał niedawno comte de Blaseblitz. Postanowiłem zapytać się stróża... a przybliżał się już do mnie, stukając obruk halebardą. — Poczciwiec, schowany cały w kożuchu, z trąbą pożarną przewieszoną przez plecy, z obmarzniętemi wąsami i głową schowaną w ogromną czapkę z uszami miał minę Eskimosa...

— Jestem tutaj obcy .. zacząłem.

Stróż spojrzał na mnie podejrzliwie.

— I chciałbym dowiedzieć się o jaki hotel, w którym mógłbym stanąć... na noc dzisiejszą...

— A z daleka Pon, rzekł patrząc na mnie z ukosa!....

— O z daleka! ale śnieg pada... powiedzcież mi więc...

— O ho! ho! Jak to panu śpieszno. A człowiek musi całą noć wartować — jak pies nieprzymierzając i nie stęka... A co pon za taki? z przeproszeniem, dodał łagodniéj...

— Jestem... (Byłem cały zmięszany; pierwszy toraz zadano mi pytanie: kto jestem? a ja ściśle mówiąc sam nie wiedziałem)... jestem... kolektor, rzekłem, decydując się.

— Aha! odpowiedział, mi kiwnąwszy głową z pojętną miną —. to pon te loteryjom wozi, rozumiem takie ci to szachrajstwo jak i inne, — no! każdy musi na chleb zarabiać — a jakiéj to pon oberży chcesz —

— Rozumie się porządnéj! zawołałem oburzony posądzeniem tego człowieka..

— No to chodź pon do Śwarca — tam same państwo staje i ruszył z miejsca sporym krokiem...

Uszliśmy kilkanaście kroków w milczeniu... Ulica poczęła się rozszerzać. Widocznie wchodziliśmy w arystokrytyczny quartier miasteczka. Na prawo zamajaczał wysoki dom — okna parteru, jasno były oświecone. Przez nie dobywały się dźwięki skrzypiec, basetli i jeszcze jakichś zagadkowych ale widocznie bardzo dętych instrumentów!...

— Kto tu mieszka! zapytałem żywo mego przewodnika...

— Ej! panie Boże odpuść — toć ksiądz — ksiądz dziekon, on tak całą noc muzykuje... som na skrzypcach rzępoli pon rendant dmucha w trąbę — Pan Syndyk Gałka w rznie w puzan — od wczoraj jeszcze sprowadzili marynę — to już tylko uszy spuść i uciekaj!.....

— To dobry ksiądz — przerwałem...

— No ksiądz! jak ksiądz! ale swat jakich mało!

— Swat!

— Ba! jak urządził u nas na zapust komedyje na sali u Śwarca, to posprowadzał moc panów i panien — oko Boskie wie, co nie robili, wykrzywiali się, klękali, chodzili za takie parawany, co je sprowadzili z Wrocławia. — A w ostatki były trzy śluby — cztery — bo pani aptekarzowa — kazała ożenić się z sobą swojemu subjektowi! A to wszystko miało być z tego aktorstwa, ludzie powiadają... Chwała Bogu, że się dobrze skończyło! Et! i splunął wyraziście...

Tymczasem zbliżaliśmy się do końca ulicy. W dziekańskim domu muzyka rosła do crescendo i zaczynała już da capo al fine...

Byliśmy na rynku. Wielka brama, w środku któréj mgławo błyszczała zawieszona latarka, stała otworem przed nami.

To Śwarc! rzekł tryumfalnie mój przewodnik...

Hotel de Petersbourg, Szwarca, musiał być dumą miasteczka. Na stuk naszych kroków wybiegł kelner, włosy ail de pigon, — we fraku — dalibóg we fraku — i blondynowata Stubenmädchen, z trochę zaspanemi oczyma...

Mój kostjum, tłomoczek i brak pojazdu nie bardzo mnie rekomendowały...

Kelner niedbale wypatrzył się na mnie, a towarzyszka jego ziewnęła homerycznie...

Po dość długiém parlamentowaniu, dano mi wreszcie izdebkę na pierwszém piętrze i przyniesiono herbaty. Mocny Boże, herbaty! Zasiadłem jednak do niéj z radością i wnet pod wpływem rozgrzewającego napoju uczułem wielki dobrobyt w sobie i zamarzyłem słodko.

Wszystkie postacie znajome jak w kalejdoskopie migać poczęły przedemną. Była to jak gdyby olbrzymia procesja głów i główek, po nad którą w apoteozie unosiła się eteryczna postać Anny. Wszystko oświecone ogniem bengalskim mojéj wyobraźni. I zdawało mi się że uczestniczę na jakimś gwarném zebraniu towarzyszy.

Na stole siedział, założywszy nogi pod siebie, jak krawiec, mój poetyczny przyjaciel o welinowéj cerze, zapychając sobie buzię ciastkami — naprzeciw niego w tragicznéj postawie — tenor niedawno zmężniały na baryton, uczone poprawiał okulary, nucąc pod nosem:

O ciel! o ciel! je le vois soufrir!...

Dwie kwarty mleka stały imponująco na stole — a pokój napełniał się strumieniami melodji płynącéj z pod natchnionych palców naszego uprzywilejowanego maëstro. Kłęby dymu uderzały o okno — nie znajdując wyjścia. Od chwili do chwili otwierały się drzwi, nowy gość przychodził! Wówczas można było słyszeć rozpaczliwy głos, wydobywający się z pod nieprawdopodobnéj, kędzierzawéj, czarnéj czupryny:

— Zamykajcie, zamykajcie! jeszcze mnie zawieje!

Głos ten i czupryna należały do utalentowanego przyjaciela naszego malarza — reumatyzmomana. Każdy wietrzyk był mu zaciętym wrogiem.

Rozmawialiśmy o kobietach... bo i o czémże kilkunastu młodzieńców pełnoletnich mówić może!...

— Powiadasz więc, rzekłem do mego poetycznego przyjaciela, — że urok powierzchowności jest najpotężniejszym środkiem do zjednania sobie miłości kobiety? Otóż ja się nie zgadzam. Ani ty, mający cerę aniołków dantejskich — cerę poziomków ze śmietaną — ani ukochany nasz Apelles, z głową Apollina Belwederskiego...

— Na barkach Quasimoda! mruknął baryton!...

— Czekaj! czekaj!... tylko zamknę te drzwi, to ci odpowiem!

— Nie przerywajcież mi! Ani ty więc, ani on, ani nawet piękny brunecik maëstro, — nie macie tyle szans podobania się, ile pierwszy lepszy brzydal... dowcipny!

— O! o! o! zaprotestowały trzy głosy.

— Tak jest, i zaraz wam dowiodę... Przemagającym w kobiecie pierwiastkiem jest...

— Wata! zawołał maëstro...

— Poeto! zobacz która godzina! maëstro powiedział bon mot! a ma tylko prawo do mówienia trzech na godzinę.

— Dziewiąta.

— Dobrze! Ciągnę daléj. Przemagającym więc pierwiastkiem w kobiecie jest próżność... Kto tę wyzyskać potrafi, pewny zwycięztwa. Otóż nic tak nie schlebia próżności kobiety, jak być kochaną od człowieka, którego rozum i dowcip inni podziwiają. Ponieważ jednak dowcip i rozum rzadko chodzą w parze z gładką powierzchownością, ergo...

— Święta Apollonio! Mam policzek jak poduszkę i w dziąsłach mnie rwie! Zamykajcie! zamykajcie!...

— Przeszkadza ci przez złośliwość, skrzypnął mi do ucha baryton; ja się z tobą zgadzam, dodał głośno, z tą poprawką...

— Ależ ja nie skończyłem...

— Zaraz! Z tą poprawką, że najwięcéj na kobiety działa i pociąga je śpiew... ja sam...

— Tak, on sam niedawno wszystkie kobiety pociągnął do wyjścia z koncertu!...

— Dalibóg, zmyślasz!...

— Nie mogłeś mu powiedzieć coś nowszego! szepnął poeta, połykając ostatnie ciastko.

— Coś tak nowego jak poety kurtka hawanna! rzekł bolejąco malarz, trzymając się za zęby.

— Odstępujecie od kwestji, — zawołałem, — możemy przedyskutować ją... jesteśmy kompetentni.

— Baryton jest kompetentny! cesarzowa Eugenia z którą...

— Tylko proszę!...

— Dajcie mu pokój, rzekłem, jeszcze was wyzwie na pojedynek..

— To i cóż! stanę mu... nie jestem przecież redaktorem Tygodnika belletrystycznego!...

— Ani ja!...

— Dzięki Bogu! Ale nie o to chodzi! Maëstro ma głos, niech powie sąd swój o rzeczy w kwestji będącéj.

— Moi panowie! Nie jestem dosyć niedyskretny ażeby was przykładami z mego własnego życia przekonywać o tém co powiem, — to pewna jednak, że na kobiety najwięcéj działa... muzyka! w Lipsku...

— Brawo! zawołało zgromadzenie.

— Panowie! — rzekł wchodząc na stół poeta, — wnoszę ażeby naszemu Rossiniemu ofiarować na znak hołdu album jego ofiar... będzie to coś nakształt listy don Juana!...

Wtém...

Stuknęły drzwi od mojego numeru i szelest sukni dał się słyszeć. Wszystkie widma i wspomnienia znikły, jak stado spłoszonych gołębi a słuch mój i wzrok wytężyły się naprzód. Musiałem marzyć ze dwie godziny. Świeca zgasła; ciemność głęboka otaczała mnie wkoło. Zapewne było około północy... Uszczypnąłem się potężnie, żeby przekonać się, że nie śpię. A szelest trwał ciągle... ktoś zbliżał się do mnie... Nie ruszałem się i wstrzymałem oddech.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POKŁOSIE.

Jerzy Czartoryski wydał „Uwagi o polityce polskiéj w Austrji“, które kończy z następującą apostrofą: „Przyznajmy się do prawdy, jéj się trzymajmy a znajdziemy to, czego nam dotąd najwięcéj brakło: wytrwałość umysłu w pracy i w walce, spokój duszy w szczęściu i w niepowodzeniu.

Franciszek Głodziński ogłosił drukiem „Odezwę do współkolegów Towarzystwa zwanego Gwiazda, w dniu uroczystości poświęcenia jéj chorągwi. — Podług materjałów zebranych przez Zygmunta Kolumnę skreślił **Władysław Sabowski**: „Rys biograficzny Józefa Hauke-Bosaka.“

„Filozofja Natury“ **Henryka Levittoux** wyszła w przekładzie francuzkim, przerobionym wedle trzeciego wydania polskiego i przejrzanym przez autora. — **O Berk** przełożył na język czeski Seweryna Goszczyńskiego „Zamek Kaniowski.“ — **Hektor Marucci** przetłomaczył na język włoski poezje Teofila Lenartowicza. — Pani **Ewelina Ahrens** tłomaczy Fryderyka Bastiat'a „Harmonje ekonomiczne.“

J. I. Kraszewski zawiesiwszy wydawnictwo swego czasopisma „Tydzień“, wstępuje do redakcji „Kraju.“

J. K. Żupański zamierza rozpocząć wydawnictwo „Biblioteki dla młodocianego wieku“ treści historycznéj i przyrodniczéj.

Dr. Matecki z Poznania ogłasza następujące doniesienie:

„Ważne względy spowodowały Wydział Gospodarczy do odroczenia drugiego Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich do przyszłego roku. Donosząc o tém, proszę szanownych współuczestników zjazdu, aby raczyli zawiadomić mnie, w którym czasie życzą sobie, aby zjazd do skutku przyszedł, czy w drugiéj połowie lipca, czy téż w pierwszéj października. Do większości zdań objawionych za-tosuje się Wydział Gospodarczy.“

Znany nasz archeolog **Alexander Przeździecki** odkrył pomiędzy Wyszogrodem a Płockiem, na piaszczystéj przestrzeni nad Wisłą pomiędzy karczmą Grabówką a wsią Osiną, na polach generała Bontemps, fabrykę przeddziejową, gdzie się wyrabiały ostrza kamienne do strzał.

Nakładem wydawnictwa „Biblioteki powieści i romansów“ we Lwowie wyszły: „Piękna pani“ powieść — studjum J. I. Kraszewskiego — „O zmroku“ Wilkie Collinsa — „Synowie Barona“ przez Kiellmana Goeranssona.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.